

Reporter.

Ernest Pawlak, redaktor „Wieści Codziennych”, powiedział mi przedwczoraj po obiedzie:

— Złatwione, panie Terkot — zostajesz pan reporterem mego dziennika. Jutro, t. j. w czwartek, przyniesi mi pan swój pierwszy artykuł — ukaże się on w piątek w wydaniu porannym.

Łatwo zrozumieć, że chciałem wystąpić po raz pierwszy na łamach gazet wspaniale i w artykule mým zawrzeć jakąś sensację. Długo myślałem, czy lepiej będzie wymusić wywiad u Prezydenta Rzplitej czy też u goszczącej w naszym grodzie gwiazdy filmowej.

Wreszcie przyszła mi do głowy myśl genialna.

— Tyle mówią o okropnościach, dziejących się nad Wisłą, na Czarniakowskiej i u podnóża mostu. Mimo to żaden reporter, nawet mój słynny kolega Maurycy Bukal z „Głosu Rannego”, nie spróbował dotąd spędzić nocy pod filarami mostu i podpatrzyć życie mełot stolicy. Czemuż ty, Florentynie Terkot, nie poszedł spać dziś wieczorem w okolicy III-go mostu?

Po paru godzinach wprowadziłem mój plan w czyn i zebrałszy odwagę tudzież różne szczytki łataney garderoby, aby nie zwrócić na siebie uwagi Antków nadwiślańskich, udałem się na posterunek.

Dziś rano, rozkładając „Wieści Codzienne”, z radością znalazłem w nich mój artykuł, od przwłoczenia którego nie mogę się powstrzymać:

REPORTERSTWO PRZEŻYTE.

Noc pod III-cim mostem.

Nie śpię w domu. — Mój sąsiad podczas noclegu. — Parę uwag o elegancji apaszow skiej. — Streszczenie budującej rozmowy. Była noc, gdy ubrany w zniecioną marynarczynę z brązowego pluszu, spodnie o tylu różnobarwnych łatach, że dawały

dował muirowany obronny zamek magnata, dodając na narożnikach dworu drewnianego baszty narożne, często dwór otaczał fosą z mostem zwodzonym i dębowa palisada. Dwory tego typu nie różniły się nawet w rozkładzie wewnętrznym i budowie wiązań dachu od dworów z muru. Architektury dworów tych tak była w Polsce popularna, tak często powtarza całą swoją artykulację, a pod wpływem najwzniegszego przeniesienia form pod siekierą wiejskiego cieśli, z kamienia i muru na drzewo przybrała tak dużo swoistej oryginalności, posiada przytem tak dawną już tradycję — że choć prototyp niewątpliwie z zachodu pochodzi, niemniej barokowy dwór z dachem łamanym zapoczątkowany u nas w XVII wieku, otrzymał indygenat polski i dziś słuszenie może być wzorem odobnego budownictwa wiejskiego.

W świetle historii jednak ten właśnie typ dworu nie posiada istotnych cech starodawnego dworu szlachty naszej, stanowi bowiem zamkniętą całość, skończoną w swej formie i przestrzeni.

Dwór starodawny, miał swoją biografję, jak człowiek, a historję jego życia widzieć było można w licznych dobudówkach i przebudówkach. Nie był przedź ukończonym zaniem w izbach swych nie mieścił przynajmniej trzech pokoleń. Miał lat sto wzrostu i dojrzewania. Budowę rozpoczął dziad a ukończył wnuk.

To też Wespazjan Kochanowski o dworze starodawnym tak mówi:

Tu ojciec z dziady, krewnych gromady
I mali wnukowie
Dzieciństwa doszli, tu w zgodzie rośli
Przy swej starszej głowie.
Józef Raciborski.

złudzenie szkockiej materji, oraz zrudziła maciejówkę bez daszka — udałem się pod III-ci most.

Postanowiłem sobie okazać dużo brawury, ale — nie wstydę się wyznać, zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, gdy, przybywszy pod filary, zauważyłem tam wywodnie ułożone indywiduum, czujące się tam śnać jak w domu.

Starałem się opanować dżnienie i wyciągnąłem się śmiało niedaleko przypadkowego sąsiada na ziemi.

I mnie się zdawało, że ubiór mój jest prawdziwie andrusowskim! Jakżeż się łudziłem! Obserwując szczegóły toalety mego sąsiada, zdałem sobie jasno sprawę z tego, że w mým przebraniu musiałem wyglądać, jak apasz operetkowy.

Prawdziwy andrus — teraz wiem to dobrze — nie posiada starej maciejówki, ani łatanych szkocko spodni, ani pluszowej kurtki. Antek nadwiślański stroił się w paletko piaskowe, krótkie a wcięte, opina swe lędźwie dochodzącami do połowy tydek spodniami do wycieczek rowerowych — a aż po uszy wciska na głowę wielką cyklistówkę pepitu.

Rozmowa z podobnym osobnikiem nęciła mnie szalenie. — Gdy wybiła piata rano na wieży kościelnej, umiosłem się i przebyłem przestrzeń, dzielącą mnie od niego.

Trzeba było zdobyć jakąś zaufanie tego podejzranego indywiduum. Opowiedziałem mu więc z lekceważeniem, że wczoraj zażyłem upartego kasjera, niechającego powierzyć mi swej wypełnionej banknotami teki.

Moje wyznania wywołały odpowiednie, oczekiwane przeze mnie wrażenie. Nie namyślając się dłużej, stręślił mi ten rzeźmieszek zajęcie minionego dnia.

— Słuchajcie! Mój sąsiad z pod filarów mostu udusił własnymi rekami starą sklepniczkę z ulicy Wolskiej, aby opustoszyć szufladkę z pieniędzmi, zawierającą 12 złotych groszy 50!!!

Florentyn Terkot.

Zbierałem się do wyjścia, aby posłuchać w redakcji zasłużonych powinszowań redaktora. Przeszkodził mi goniec z „Wieści Codziennych”, który przybył wręczyć mi w imieniu redaktora list i numer „Głosu Rannego”.

Gorączkowo przebiegłem oczyma list.

Oto co zawierał:

„Czy pan czytuje od czasu do czasu „Głos Poranny”? miły panie Terkot? Polecam panu przejrzeć numer dzisiejszy. Znajdzie pan tam artykuł, który powinien pana gorąco zainteresować

(— Ernest Pawlak.

Rozłożyłem „Głos Poranny”. Jakże opiść wam zdumienie me i przerażenie?

Na pierwszej stronie, w czwartej kolumnie widniała fotografia, przedstawiająca mnie!!! Mnie, Florentyna Terkota, w przebraniu apasza. Pod tą odbitką znajdował się długi artykuł, podpisany: Maurycy Bukal, brzmiały:

REPORTERSTWO A ŻYCIE.

Noc pod III-cim mostem.

— Zajmowałem parę godzin pokój w Grand-Hotelu panów apaszów. — Leże, pozbawione komfortu, gdzie poznałem jegomością, nie tracącego dni nadaremno.

Wiele się mówi o rzeźmieszkach i andrusach — ale niewielu widziało ich na własne oczy.

Sadziłem, że wtargnięcie do królestwa tych panów dostarczyłoby wiele wrażeń. Więc zrezygnowałem zeszłego wieczoru z wygody mego przwłutnego mieszkanca i, wsunawszy na uszy wielką cyklistówkę, wyszperawszy spodnie rowerzystów i narzuciwszy na to lasne paletko, obciete i imitujące marynarkę — poszedłem spać pod filarami III-go mostu!..

Od paru minut odpoczywałem, onarty o słun, gdy jakiś osobnik przyszedł na drzemkę do stóp sąsiedniego, o parę metrów oddalonego filaru.

Czy mam udawać mełniejszego, niż byłem w istocie? Na myśl, że zmuszony będę spędzić noc w tak podejzranym towarzystwie, uczułem zimny pot, występujący mi na skroni.

Nie uśmiechajcie się wzgardliwie! Przypatrzcie się lepiej błyskawicznemu zdjęciu, jakie udało mi się zrobić o brzasku, nie zwracając jego uwagi.

— Badźmy szczerzy! W tej wymiętej maciejówce, skradzionej jakimś rzeźbiarzewi kurtce pluszowej i łatanych spodniach — czyż nie wygląda, jak ostatni obwieś? Jego spojrzenie z nodelba, odstające uszy, śniczasta czapka — czyż nie zdradzają z jaskrawą wyraziistością zbrodnia-rza zatwardziałego i nieuleczalnego, wyrzutka społeczeństwa, dziedzicznie obciążonego lotrzyka?...

(przeł. Ir.)

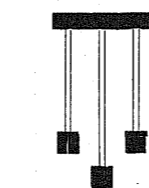


DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok II

Łódź, dnia 29 marca 1925 roku.

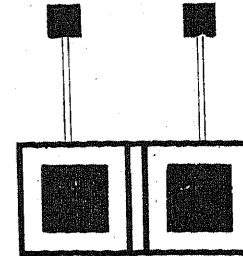
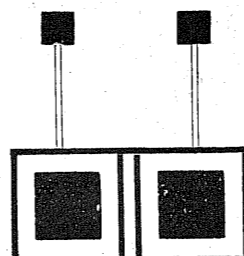
Nr. 13.



General broni
Józef
Haller



Dziś gości
w naszym
grodzie.



W Łódzi w Malinowej Sali przy Grand Hotelu występuje obecnie z ogromnym powodzeniem orkiestra cygańska, zamieszczona na powyższem zdjęciu.

Łódź nad mogiłą „Niezanego Żołnierza”.



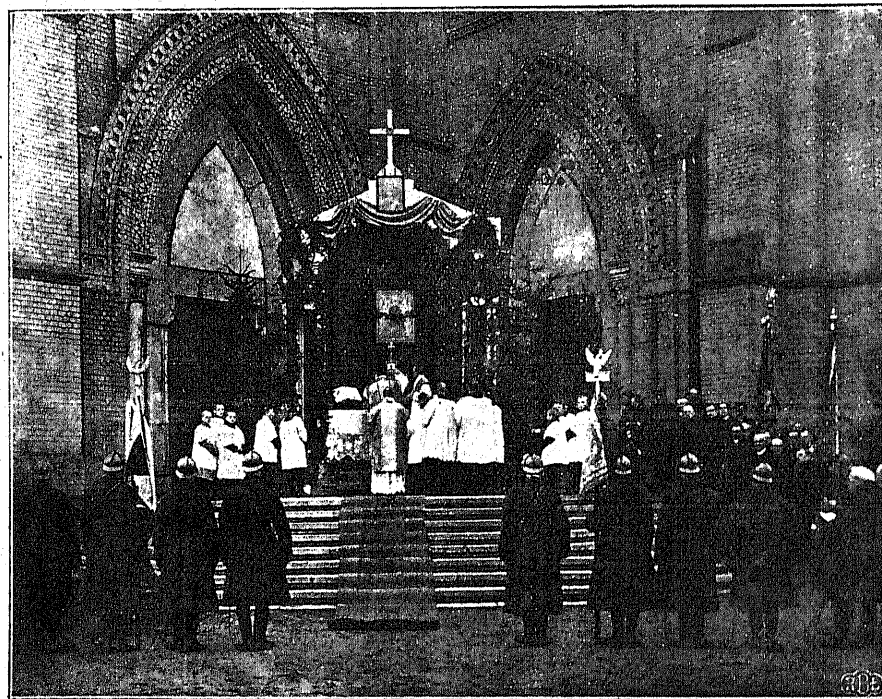
Uroczyste poświęcenie płyty pamiątkowej przed Katedrą przez J. E. księdza biskupa Wincentego Tymienieckiego w dniu 22 marca r. b. w obecności Ministra Spraw Wojskowych gen. Sikorskiego, miejscowych władz państwowych, samorządowych oraz przedstawicieli związków i korporacji.

Tobie, Nieznany...

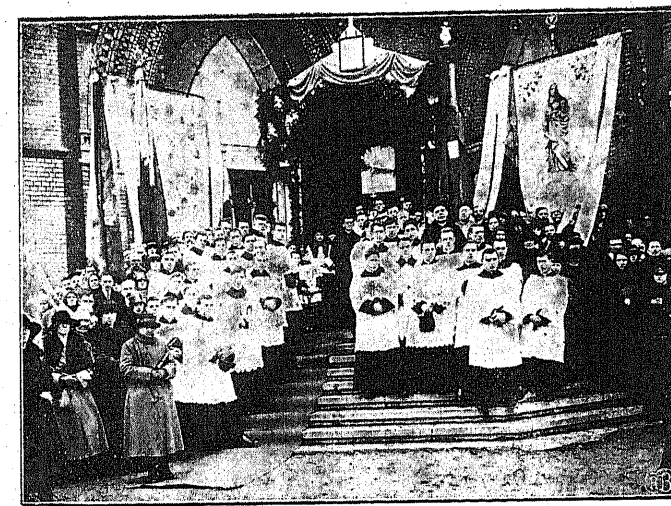
Najpierwsze moich wierszy słowa:
niech będzie Polska pozdrowiona,
i niechaj będzie pozdrowiony
ból tych, co, cierpiąc dla Ojczyzny,
siali przyszłości złote plony.
Niech będzie trud ich nagrodzony
przez śmierć, gdyż przez swą krew i blizny
zdobyli wolność dla Ojczyzny.

Tyż jest również między niemi
Polski Żołnierzu, Ty Nieznany!
Krew swą serdeczną dałeś ziemi
Jak siew, pod przyszłe bujne łany;
włec proszę ciebie, żołnierzyku,
wymódl u Boga lepszą dołę.
Spraw, Bezimienny Męczenniku,
niech krwiał święcone polskie pole
ziarnem porośnie — nie kąkołem!

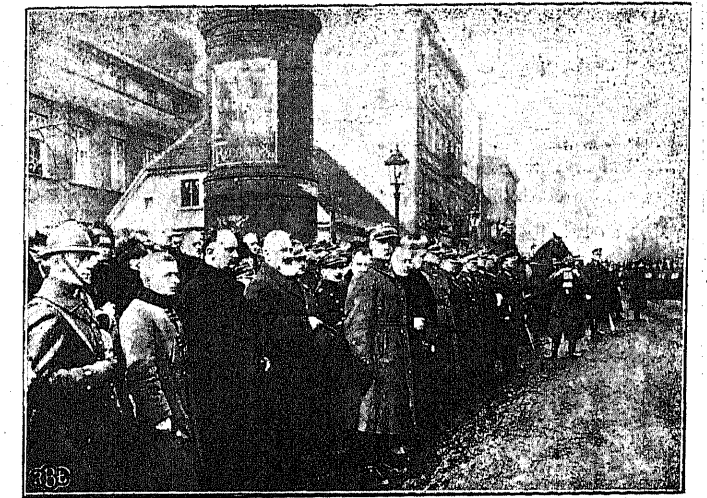
Lucyna z Macherskich Pruszyńska.



Msza połowa przy specjalnie wzniesionym ołtarzu na stopniach Katedry.



Duchowieństwo i alumni łódzkiego seminarjum w czasie poświęcenia.



Gen. Sikorski, J. E. ks. biskup Tymieniecki, p. wojewoda Darowski, p. prezes Sądu Okręgowego Kamiński, Komisarz Rządu na m. Łódź p. Łyżki prezydent m. p. Cymarski, prezes Rady Miejskiej p. Fichną w czasie defilady wojsk.



Wojsko, przedstawiciele związków oraz cechów ze sztandarami w skupieniu słuchają Mszy św.



Na horyzoncie filmowym zabłysła nowa gwiazda. Jest nią uroczą miss Foryd Kenyon, amerykanka.



W Warszawie odbył się doroczny Zjazd Dowórczyków, na który przybył osobiście b. dowódca pierwszego korpusu, generał w rezerwie Józef Dowbór-Muśnicki. Zdjęcie przedstawia chwilę przed wieczornicą, kiedy zebrani skupili się wokół świętego prezesa gen. Dowbor-Muśnickiego (X).

Błękitny Związek.

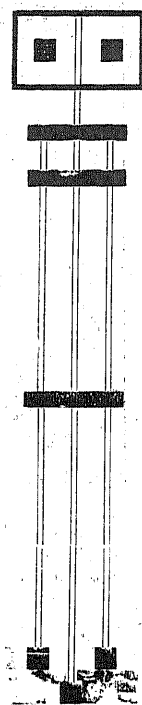
W ostatniej godzinie wojny pod Kaniewem dojrzał czyn hallerowski, który zagrział w Europie gromem protestu świadczącego niezłomnie, iż nie było i nie będzie takiego historycznego momentu, w którym by Polak mógł podać rękę Prusakowi dla dokonania gwałtu nad uciskiem słabszych narodów.

Czyn Hallera, — to rehabilitacja żołnierza Żelaznej Brygady, zdzierającego tragicznym odruchem narzucony Mu niewolniczy mundur austriacki, to głośny krzyk narodu przeciwko tyranii Teutonów, którzy fałszem i obłudą zatrucili duszę narodu.

W ogniu kul niemieckich wrodziła się prawdziwe Niepodległe Wojsko Polskie. które mocą woli narodu powstaje na ziemi obcej. Krzyżową drogą, tułaczym szlakiem ciągną na północ poprzez nieszczęsną krainę — Hallerczycy za swym wodzem duchowym, który zatknął sztandar Armii Polskiej w męczeńskiej Francji, w oczekującym męczeńską krew — sercu świata — Paryżu.

Radosny łopot tego sztandaru słyszą wszystkie czujące swą polskość i obowiązki złożenia ofiary życia, — nowi polscy żołnierze. Na zew Błękitnego Generała, ni by legendarne śpiące wojsko, powstają oddziały i formacje we Francji, Ameryce, Włoszech, Karelji nawet Chinach, by najeżoną bagnietami potężną lawiną zsunąć się corychlej na obronę granic Zmartwychwstałej Rzeczypospolitej.

Miłość rzetelna dla Polski gnała żołnierzy Błękitnych przez Oceany i pustynie, mi



SZTANDAR CHORAGWI ŁÓDZKIEJ ZWIĄZKU HALLERCZYKÓW.

(Sztandar ten dziś zostaje uroczystie poświęcony w Katedrze).

Lewa strona.

Prawa strona.



łość ta trwalsza niżli śmierć zginąć nigdy nie mogła i nie może w sercach tych, którzy raz na siebie błękitny mundur przywdziali. Ta miłość i szlachetna samoofiara jest najsilniejszym węzłem członków Związku Hallerczyków, którzy aczkolwiek jako czynna formacja wojskowa istnieć przestali, to jednak tworzą 200.000-ną, roztopioną w społeczeństwie armię, gotową do spełnienia żołnierskiego obowiązku.

Długoletnia tułaczka po obcych łąkach

morzach, wspólnie przelana krew i wspólna żałoba, po pozostałych hen na różnych szlakach towarzysząc, otulonych uściskiem śmierci, stopiła w jeden jasny metal serca Hallerczyków, którzy nie raz sobie pobratymstwo i miłość dożgonną ślubowali. To pobratymstwo zrodzone w ogniu walk i w jęku cierpień i bólów jest trwalsze i głębsze niżli rodzinna krew.

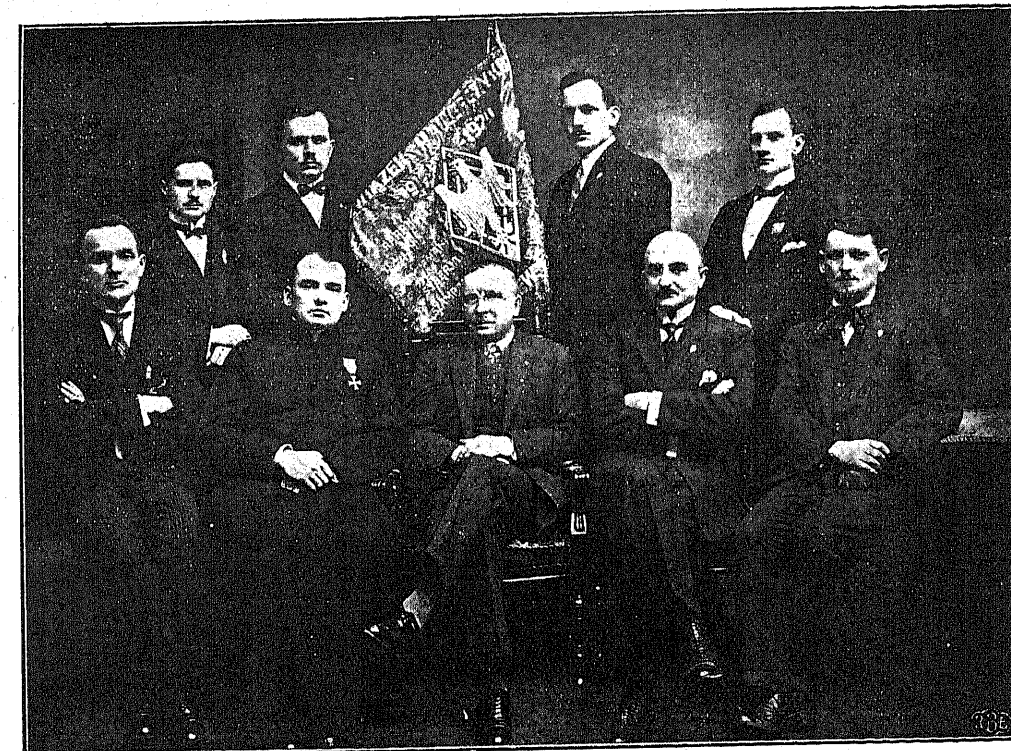
Celem Związku Hallerczyków jest utrzymanie wieczystego znicza tej wielkiej mi-

łoty i towarzyszy broni, jest rozpalenie i nienawieć tych nowych ognia dla ogrzanie najbliższych i wątpliwych serc w kraju i zjednanie wszystkich na których męski czyn liczyć może Rzeczpospolita. — Hallerczycy oddają dziś w robotniczym mieście Łodzi naprawami swego Związku, którego jedynym celem jest hasło Błękitnego Wodza "Ciebie, Polsko i dla Twojej chwały".

M. Łabudziński.

Łódź, dn. 28 marca 1925 roku.

ZARZĄD CHORAGWI ŁÓDZKIEJ Nr. IV ZW. HALLERCZYKÓW.

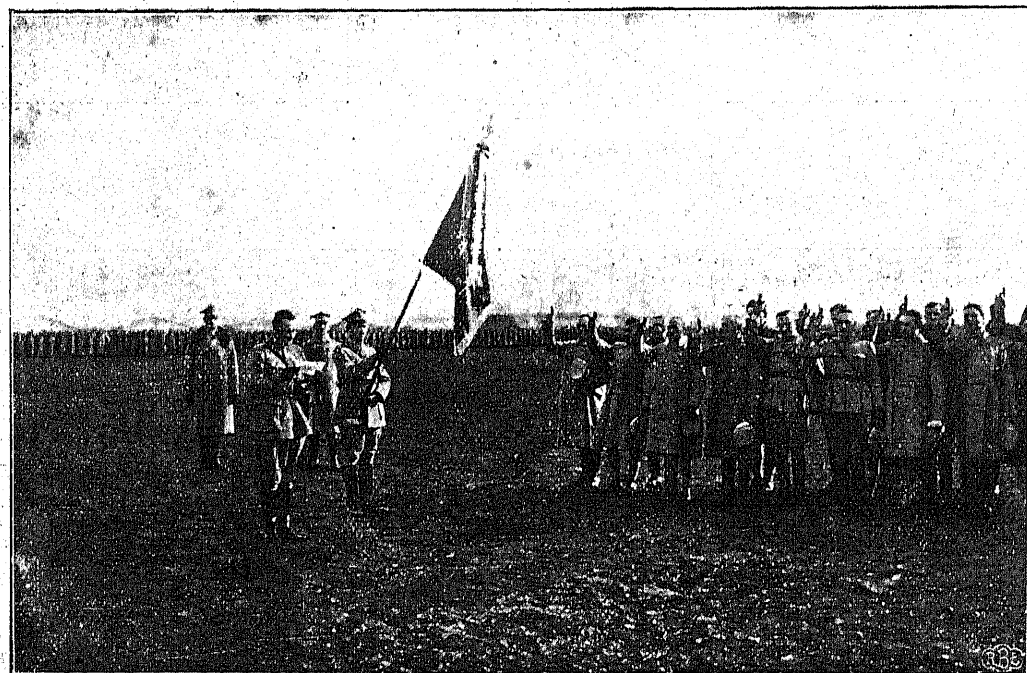


Siedzą od strony lewej ku prawej: Fr. Król, ksiądz Naddolski — kapelan Chorągwi, T. Tyrakowski—prez., mec. S. Jurkowski i L. Grzegorzak. Stoją: T. Stanikowski, B. Kowalski, M. Łabudziński oraz Z. Zieliński.



Pieczęć oficjalna Armii Polskiej we Włoszech.

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI.



Zaprzysiężenie oficerów armii polskiej we Włoszech w dniu 15 stycznia 1919 r. przez ówczesnego komendanta oddziałów polskich kpt. M. Dienst-Dąbrowę w obozie la Mandria di Schivasso.



Poświęcenie sztandarów pułku piechoty: im. Adama Mickiewicza, Fr. Nulla, J. Garibaldi oraz Zawiszy Czarnego.



ORGANIZATOR ODDZIAŁÓW POLSKICH WE WŁOSZACH. Pplk. Marjan Dienst-Dąbrowa.

Teatralja.

RZĄDKI ZBIEG OKOLICZNOŚCI. — OSTATNIE PREMJE WARSZAWSKIE. — PRAWDZIWI „GRAND GUIGNOL“ W WARSZAWIE. — EUROPEIZACJA TEATRU JAPONSKIEGO.

Dzięki dawno niespotykanemu zbiegowi okoliczności — ciekawy a pomysłny fakt zaobserwowano w ostatnich dniach w życiu teatralnym stolicy. Oto na afiszach wszystkich bez wyjątku teatrów warszawskich znajdują się sztuki pisarzy polskich. Jeśli do tego dodamy, że wielu z tych autorów posiada najlepiej lub conajmniej dobrze zapisane nazwiska w piśmiennictwie ojczystym, fakt opisany musi napelnąć wiarą i otuchą co do przyszłych losów polskiego dramatopisarstwa, w takim bogactwie wzorów i pomysłów manifestującego swoje „jestem“ na scenach warszawskich.

Bo oto Teatr Narodowy gra Żeromskiego — „Przepióreczkę“, Polski — „Djabła i Karczmarke“ Krzywoszewskiego, Mały — „Niewinna grzesznica“ Grubińskiego, Letni — „Wygnanego Erosa“ Konczyńskiego, im. Bogusławskiego — „Kniazia Patiomkina“ — Micjńskiego, im. Fredry — „Wścieklicę“ Witkiewicza, Praski wreszcie — „Śmierć bohatera“ Bakała. Odczytawszy tę długą, radosną listę nazwisk i tytułów, chce się głośno wykrzyknąć: Vivant sequentes!

Ze sztuk, które wymieniliśmy wyżej, „Niewinna grzesznica“ i „Wygnanego Erosa“

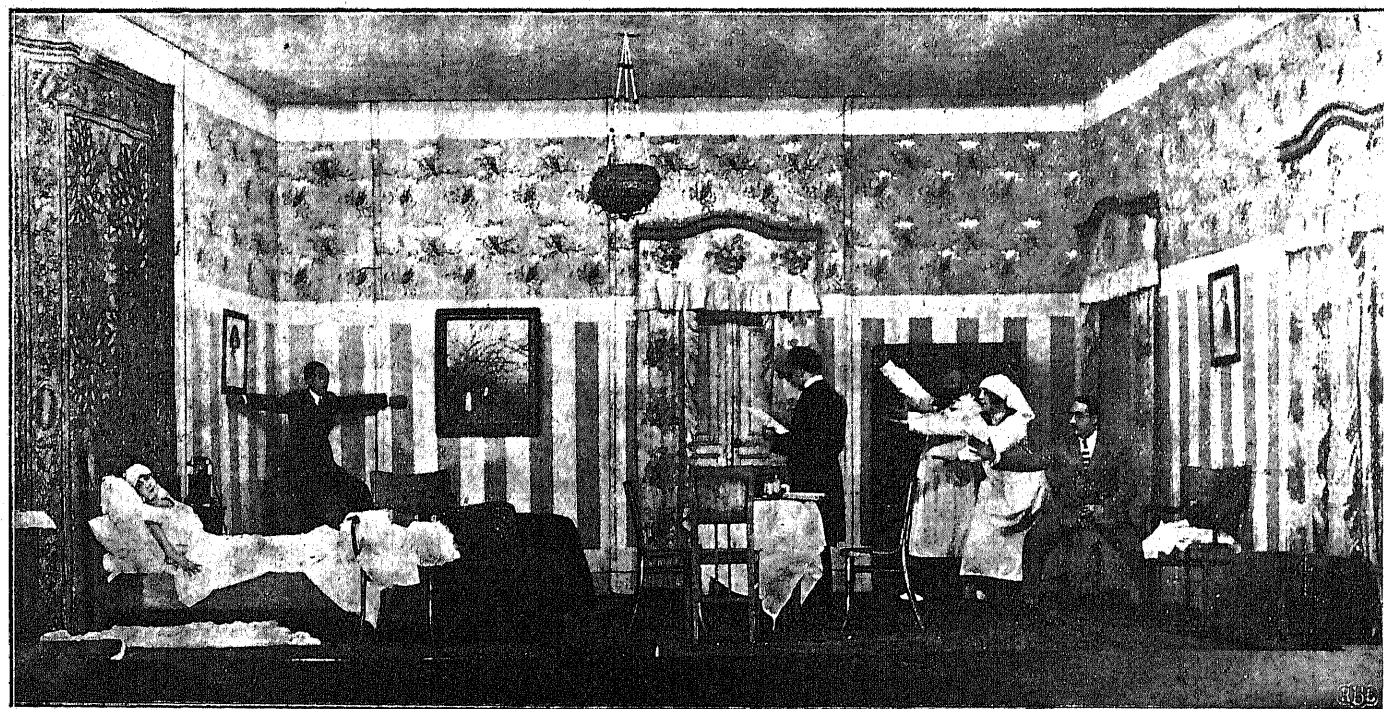
były wystawione w ubiegłym tygodniu po raz pierwszy, zaś „Djabła i Karczmarke“ jest wznowieniem, pełnym nowych pomysłów reżyserkich i dekoracyjnych. Ciesząca się stałem powodzeniem na wszystkich scenach polskich, doskonała komedia Krzywoszewskiego o zakochanym diable i sprytnym karczmarce nabrała dzięki współdziałaniu reżysera i dekoratora (pp. Borowski i Frycz), kolorowych blasków teatralności, stała się doskonałą, wesołą bajką, ilustrowaną wspaniałością malarskich barw i przez pychem kostiumów.

„Niewinna grzesznica“ — Wacława Grubińskiego, określona przez Boya-Zeleńskiego jako „paradoks, dowcipnie snuty w towarzysztwie inteligentnych ludzi“ zyskała sobie odrazu gorące słowa uznania ze strony krytyki. Arcy-moderne temat komedjowy, opracowany przez Grubińskiego z wytwornym smakiem, nie osadzającym przecież w martwym punkcie autorskiej swobody i swawolności samego pomysłu, musi przyspaść do gustu publiczności naszych czasów, jako wierne odbicie jej epikurejskich poglądów na życie i — miłość. Pani Zuzu jest centralną figurą sztuki, „niewinna grzesznica“, dzieląca umiejętnie swój czas i swo-

je serce pomiędzy męża (przyjaciół), kochanką (miłość) i — prosto mężczyzną, w którego ramionach przeżywa krótką chwilę upojenia (przygoda). W ramach tego niebanalnego erotycznego kwadratu, toczy się piękny, misterny dialog, propagujący Petroniuszową filozofję pogodnego użycia, sączącego do dna puhar istnienia, bez żalu i rozpacz, gdy wina nie stanie. Ten dialog głównie czaruje zaletami najpiękniejszych wzorów francuskich, jaśniejących przeciw własnym blaskiem utalentowanej indywidu alności pisarza, który w wielobarwny watek swej „niemorralnej“ komedji wprzął pa semka leciutkiej melancholji i rezygnacji...

Fantastyczna groteska Tadeusza Konczyńskiego p. t. „Wygnanego Erosa“, napisana przed kilku laty, wystawiona została jednak w Warszawie po raz pierwszy. Jest ona dziś niejako literackim anachronizmem, gdyż trudno by z pewnością znaleźć obecnie wśród pań Zuzu choć jedną, która zdecydowałaby się na wygnanie Erosa z dziecin swego życia, z królestwa swych pragnień. A to właśnie czymś w grotesce Konczyńskiego bohaterka jej pani Rafaela, zapędzona wraz z towarzyszami podróży wskutek rozbicia okrętu na odludną wyspę,

„GDY KOBIETA ZAPRAGNIE“ — Stefana Reya i Alfreda Savoira w Teatrze Miejskim w Łodzi.



Morska, Krotke, Dębicz, Szubert, Jerzmanowska i Magnuszewski.

dokąd urocze, zbrojne w łuk i strzały pachole nie ma podobno wstępu.

Autor „Wygnanego Erosa“ bardzo umiejętnie napisał swą groteskę, urozmaicając tok jej akcji szeregiem niezawodzących nigdy efektów, dowcipnie skonstruowanych epizodów, wreszcie licznymi wkładkami muzycznymi i choreograficznymi. Z autorskiego scenariusza wydobyl reżyser (Chaberski) wszystkie drzemiacze tam skarby humoru i pomysłowości, stwarzając z tych kolorowych klejnocików i kamyków piękną mozaikę wesołej fantastyczności. Słowem i ta premiera jest początkiem powodzenia sztuki, która z pewnością dłużej niż różne

„Nagie kobiety“ utrzyma się na afiszu Teatru Letniego.

Występy „Grand Guignolu“ w Warszawie cieszą się ogromnym powodzeniem, któż bo z szanownej publiczności nie pobiegnie obejrzeć przeraźliwe historie i okropne nadzwyczajności, doskonale grane przez aktorów paryskich?...

Teatr japoński, tak interesujący w swych odrębnych wzorach literackich i aktorskich, zaczyna się powoli europeizować. Niedawno powstał w Tokio, założony przez jednego z literatów japońskich, t. zw. wolny teatr, którego repertuar nie różni się niczem od

repertuaru dramatycznych teatrów europejskich.

Grają więc aktorzy tokijscy „Wilki“ Romain Rollanda, „Sześć postaci scenicznych“ Pirandella, „Miłostki“ Schnitzlera.

Sensacyjne dreszcze i emocje przeżywa Warszawa na występach paryskiego „Grand Guignolu“, który w swym tournée artystycznym zawitał do naszej stolicy. Teatrzyk ten, jak wiadomo, posiadający w swym zespole wiele bardzo poważnych sił aktorskich, postawił sobie za zadanie budzić na widowni dreszcze grozy i konwulsje wesołości naprzemian. Krótkie jednoaktowe sztuki pisywane są przeważnie specjalnie

JEAN RICHEPIN.

Zegar wieżowy.

(Nowelka).

Pierwsze uderzenie godziny siódmej na zegarze ratuszowym rozdarło ciszę wieczorną odgłosem przeciągłego łkania. Mia rowo wybiegły naddarte, pogrzebne dźwięki.

Przechodnie, niby żołnierze, którzy na komendę wykonywują ćwiczenia w szeregu oderwanych ruchów, zatrzymali się na szerokim chodniku, włożyli ręce prawie do kieszonek, wyciągnęli z kieszonek zegarki, spojrzeli na tarcze, smętnie kiwając głowami wsunęli je z powrotem do kieszeni i unieśli ręce ku niebosiom.

Następnie głosami pełnymi smutku, jak uderzenia dzwonu wieżowego, prawie jak łkanie dźwięków, które jeszcze drżały w ciszy wieczornej, przechodnie poczuli łamen tować:

— Na moim zegarku jest dopiero za pięć minut siódma godzina!
— A na moim pięć po siódmej!
— Na moim dwie po siódmej!
— U mnie brak jeszcze trzech minut!
— A na moim siódma za minuty!
— Na moim pół minuty po siódmej!

Lecz żaden, absolutnie żaden zewarek nie wskazywał dokładnie siódmej godziny.

W tej samej chwili ukazał się na chodniku starzec idący w stronę kościoła św. Genowefy. Wszystkie spojrzenia skierowały się nagle ku temu starcowi, spojrzenia milczące, lecz pełne wzruszeń i oburzenia, a niektóre wyrażały nawet pogardę lub zgoła nienamowany wstręt.

A jednak człowiek ten nie miał w twarzy ani w obejściu nic takiego, co mogłoby usprawiedliwić tę gwałtowną niechęć, tak mało ukrywaną i tak zgodną nienawistną. Starzec odziany był przyzwoicie i robił wrażenie godnego szacunku obywatela. Trzewiki jego ciężkie i duże, lecz dobrze oczyszczone; spodnie nieco przykrótkie, lecz niepostrzebrane, surdut zato trochę za długi, ale dlatego właśnie nadający więcej powagi jego wysokiej postaci. Wiek nie pochylał go wcale i starzec szedł prosto z dumą, właściwą tylko prawym i uczciwym charakterem. Okolona długimi siwymi włosami biała twarz jego tchmeła, jak to mówią, uczciwością: nieskazitelność promie-

niała z tej twarzy, a najjaśniejsze promienie były z wielkich głębokich oczu. Jego oczy to były dwa diamenty przeczyste, w których błyszczały jednocześnie: egzaltacja mistyczna, niewinność dziecka, dobroć i siła bohatera.

Jakież więc powody skłaniać mogły przechodniów i miasto całe do okazywania temu starcowi tyle oburzenia, pogardy i wstrętu?

Zacznijmy się domyślać powodów, jeśli się dowiemy, że starzec był jedynym zegarmistrzem miasteczka i od lat trzydziestu regulował wszystkie zegary wieżowe, ścienne i kieszonekowe, a obecnie wszystkie porzucił i został w naładowaniu.

Lecz dlaczego go opuścił? Gdzie się podziała szlachetna duma zawodowa? Jakim że cudem szczere złoto w niedźny ołów się zamieniło? Ach! to cała historia! Posłuchajmy lepiej, co jego współobywatele o tem mówią.

— Patrzajcie, znów idzie na noc do kościoła św. Genowefy!
— Znów będzie tam szalał do rana!
— I naturalnie jutro nic robić nie będzie mógł!

— Jego zegary idą, jak im się podoba!
— Śpi na zegarkach, zamiast czuwać nad nimi, jak dawniej.

— Nawet przestał się zajmować zegarem na ratuszu!

— Tylko go ta stara mędnica obchodzi!

— No i po jakiego licha, pytam was? Toż to warjat, skończony warjat.

— Oczywiście. Nawet mądrzejsi od niego tam głowy potrącił.

— A on nie tylko głowę, ale i więcej stracił. Zapewniam was.

—Przedewszystkiem klientów. Ja naprzykład....

— A i ja również u diabła! Niech tylko jakiś inny zegarmistrz się pokaże. Zobaczymy, co stary głupiec zyska.

— Mówiono mi, że jakiś zegarmistrz przyjeżdża do Saint-Jean.

— Tem gorzej dla starego Bringarda! Zdechnie z głodu.

— Chyba, że go wprzódzy ta stara zadusi...

— Może i tak się zdarzyć. Tam jest niebezpiecznie.

— Ale nie tylko z powodu maszynerji!

— Wiem, wiem. Stare podania jeszcze straszniejsze rzeczy mówią.

— Ano pewnie. Czy to prawda, czy nie prawda, ale nasi ojcowie nie byli od nas głupszy, oni wierzyli i święcie wierzyli, że nie można jej tknąć bez ściągnięcia biedy.

— A ten stary pomieszaniec, znów idzie z czartem się kumać do tej przekłetej (rudery) maszyny zegarowej na kościele.

A więc o zegarze na wieży kościelnej mówiono. Był to jeden z tych antyków średniowiecznych, wykonanych rękami cierpliwych fachowców, którzy umiłowanej pracy poświęcili życie całe, zwiększali w mehaniźmie ilość kółek, ząbów, ciężarków i wag, aby zegar śpiewał na Amioł Pański; nieskończenie wyśpiewywał długie a wesołe kuranty, podczas gdy na tarczy, rozwartej, jak ołtarzyk, ukazywała się Najświętsza Paniątka a przed nią w głębokich pokłonach Amioł Gabryel na czele korowodu Świętych Apostołów, sześciu na Angulus i dwunastu na południowy.

Taki to zegar na wieżycy kościoła św. Genowefy zepsuty był od niepamiętnych lat, inaczej mówiąc nigdy dobry nie był.

Krażyły o nim różne podania. Mówiono, że mistrz zbudował zegar przy pomocy szatanu i że czart zatrzymał maszynę po upływie umówionego terminu; twierdzono, że tajemnica ruchu jego wskazówek zaginęła

Placówka Zw. Hallerczyków Łódź-Wschód.



Zarząd tej placówki stanowią pp.: F. Renkawiecki (prezes), W. Chmielowski, W. Poros, W. Szlakowski, Z. Felczak oraz M. Kuczyński.

B. D.

nia zawsze i że nieszczęście czyha na każdego, kto ośmieliłby się rąbek tajemnicy uchylć. Straszne legendy podniecały wyobraźnię ludu, lecz dziś nie wierzą już tym podaniom i opowieściom. Niektórzy mówili jeszcze o nich, lecz więcej dla żartu, niż przez wiarę. Tylko stary Bringard nie żartował i po trzydziestu latach długich rozmyślań doszedł do świętej wiary, że od czasu, gdy zegar stanął, dusza jego mistrza jest w niewoli diabelskiej i wyzwolona będzie dopiero wówczas, gdy kółka nanowo obracać się poczyna.

Ożywiony tą intencją miłosierną, a ponieważ także dla zadowolenia swej dumy zawodowej, zaprzął się do naprawiania zegara, poświęcając mu całą swą przemysłową cierpliwość i głęboką wiarę. Nielicznym przyjaciółom, którzy litowali się nad szaleńcem i próbowali odwieść go od nieszczęsnego zamysłu, odpowiadał z niewzruszoną ufnością:

— Naprawię. Zrobiłem już to i owo. Mu

szą tylko odnaleźć jeszcze ciężar odpowiedni do wag zegarowych. Będzie ze specjalnego metalu. Zobaczycie, że zegar ruszy. Zobaczycie!

Tymczasem całe dnie i noce poświęcał szalonej pracy, zaniedbywał wszystkie zegary wieżowe, ścienne i kieszonkowe i narażał się na oburzenie, pogardę i wstręt ze strony swych współobywateli. Nie zrażał się jednak niczem: podwajał wysiłki pragnąc dopiąć celu przed śmiercią i codzień wleźli mocniej, że marzenia są coraz bliżej rzeczywistości.

Przekradając się poprzez wrogi szereg obywateli powtarzał machinalnie:

— Skończy dziś w nocy. Napewno. Jutro w południe. Jutro zegar ruszy. Jutro w południe. Jutro w południe.

Jednakże dni przechodziły, a zegar stał niewzruszony.

A teraz już urwisy wołali na ulicy za nieszczęsnym ojcem Bringardem:

— Hu! Hu! Czarci pomocnik! Ruszy dja

bel czy nie? Jutro w południe! Jutro w południe!

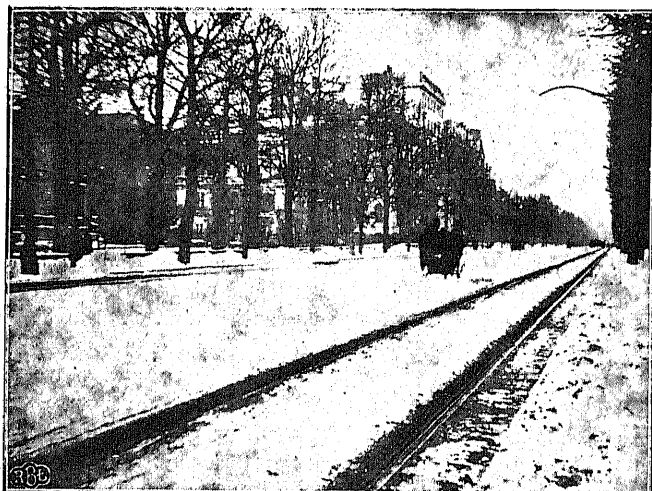
I oto nagle pewnego pięknego poranka, w południe, na wieży kościelnej zadzwieczał kurant: din, din, don, wybiegła wesoła pieśń i na tarczy zegara rozwarłej, jak ołtarzyk, ukazała się Najświętsza Panna, a przed nią Anioł Gabriel na czele korowodu dwunastu Świętych Apostołów.

Cud się dopełnił! Cud! Biegano po mieście, szukano ojca Bringarda, by go uczcić jak należy. Wołano, że jest chlubą kraju. Ludzie stawali w zachwycie przed zegarem zmartwychwstałym. Niedowiarki płakali z radości wielkiej.

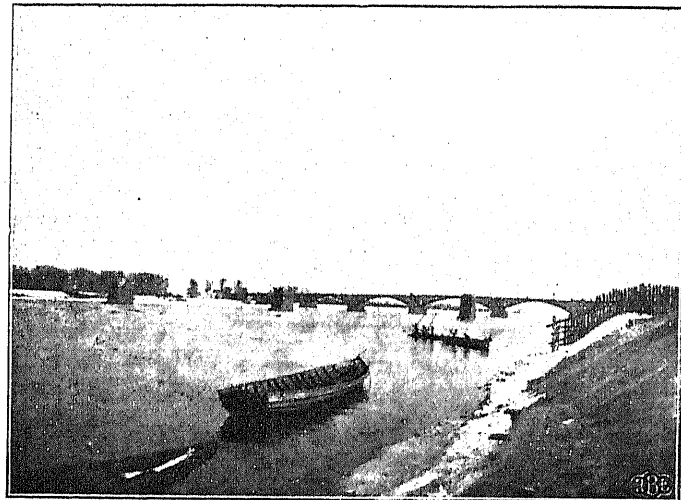
Lecz ojciec Bringard nie słyszał już nic i nic już nie widział. Dla zbawienia duszy dawnego mistrza i ożywienia umiłowanego zegara poświęcił wszystko co posiadał, a wreszcie — samego siebie. Na jednym z żelaznych łańcuchów, zamiast nieodnalezionego ciężaru, wisiał sztywniejący trup starca.

Przełożył R.

WARSZAWA POD UROKIEM ZIMY.



Gdy niedawno spadł śnieg, Warszawiacy po raz pierwszy w tym roku używali samy w Alejach Ujazdowskich.



Komunikacja na Wiśle odbywa się na łodziach tylko przy brzegu. Środkiem płynie kra. W dali widać most ks. J. Poniatowskiego już zupełnie odbudowany.



Belweder, rezydencja prezydenta Wojciechowskiego, w zimie.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego“.



Sliczny filcowy kapelusik, przybrany czarnymi wstążeczkami, noszony przez p. Sylvie, artystkę teatru „Gymnase“ w Paryżu. Fot. Manuel Frères.

Redaktor: Klemens Orchułski.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok II.

Łódź, dnia 5 kwietnia 1925 roku.

Nr. 14.

Parki łódzkie w zimie.



Park im. H. Sienkiewicza. Młodzież szkolna, z powodu spóźnionego śniegu w tym roku, dopiero przy końcu marca mogła użyć rozrywek zimowych.